



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Minęły chwile złote dla tych wszystkich, którzy, znudzeni całonocną pracą, opuścili mury miejskie, ażeby wiejskich roskoszy zażyć.

Z dniem każdym opróżniają się wille podmiejskie, na dworcach kolejowych tłok nie doopisania; wzmagają się, zmniejszony nieco ruch miejski a sympatyczne mundury i mundurki studentów i gimnazystów, krzyżują się na ulicach, wzmożona się rozpocznie praca na polach wszystkich, a wszystko to dla zagadkowej przyszłości, która niewiadomego nęci młodzież, uśmiechając się słodką obietnicą lepszego jutra, na czoła zaś zmarszczkami pokryte, okolone włosiem siwym, rzuca cię głębokiej zadumy, niepokój jakiś i trwogę.

Lecz o ile wolno, choćby z niedowiarstwem pewnem, w tę przyszłość patrzeć ludziom skołatanym wiekiem, złamanym przeciwnościami losu, odartym z marzeń, jakimi żyli w dniach swoich młodości—o tyle nie wolno tym, którym zaledwie życie świta, witać to życie uśmiechem gorzkim, przedwcześnie odzierać je z ułud wszystkich, z wiar wszystkich i nadziei, nie widzieć nie ponętnego na rozwijającym się dopiero gościncu żywota i dążyć do kresu ostatecznego, jakim ma być—nirwana. Bez krwi zapalnej, bez wiary w siebie, tej wiary, która „w kolebce łeb urywa hydrze, w młodości dusi centaury“, która, na zamiary siłę swoją mierzy, „—żaden doniosły czyn się nie urodzi, żadna potężna pieśń z piersi nie wytrysnie, żadna myśl wielka nie przyoblecze się w ciało. Bywają chwile osłabienia duchowego, dusznego letargu nawet—lecz w chwilach takich pojawiają się ludzie, którym świat

szczytne miano „wieszczów“ nadaje, budzący ze snu głosem wiary, żar swego serca przelewający w serca drugie, a targając do trzewi ospalców, podnoszą głowy ich senne, wprost do słońca twarzą zwracając. Do takich tylko należy przyszłość, takim tylko pomniki stawiają, którzy „swych marzeń przedzę i swych uczuć kwiaty“ na kołowrotku dusz ludzkich wiją, a marzenia są pełne Boga i miłości, a kwiaty pełne woni orzeźwiającej.

Jeżeli niezwykle smutne wrażenie robi na nas, młodzieniec bez właściwego wiekowi swojemu zapалу, o wiele więcej czuję niesmaku, gdy, przezierając występy poetyckie młodych pieśniarzy naszych, którzy przecie chcą „ludowi swemu przewodzić“, dostrzegamy w nich jakieś rozczarowanie przedwczesne, jakąś fałszywą nutę bólu, rozlubowanie się, że tak powiemy, w rozdarcia duszy własnej, wybujały egotyzm, nie a nie zresztą nie obchodzący świat, mające swoje własne cele i zadania.

Poeeci nie rodzą się na kamieniu, gdzieś u nas jednak rodzą się i to w znacznej liczbie. Niepowiemy nawet, ażeby w ich pierwszych występach talentu nie było—talent jest, jest siła nawet—ale każdy z nich jeżeli dotknie strun lutni, to zaraz piosnkę swoją na tak minorowy ton nastroi, taką boleścią zazgrzyta, takim chłodem rozczarowania wionie, że zda się tobie, iż wypite zostało całe morze gorczy, że życie nie innego dla nich, prócz cierpień tantalowych nie miało.

Ale „życie“—to wielki wyraz. Ma ono czasami uściski macosze, bóle wielkie, niedozniesienia brzemiona. Potrzeba jednak przejść trochę przez życie, by poznać je, i ukochać lub przekląć. Lecz, jeżeli wolno zwykłym śmiertelnikom zanurzać się we własnych tylko boleściach i o nich tylko kumoszkom mówić, nie wolno w nich tonąć tym, którzy bardon do rąk swych wzięli i wzywają słuchaczy. Cierpienia jednostki przy ogólnoludzkich cierpieniach, małe

znaczenie mają; bolesne kwilenia takich poetów, fantastyczne najczęściej, muszą bez echa przebrzmieć, są zresztą pozą, chęcią, by zwrócić uwagę na ich „piekielne“ życie—boć przecie całkiem nazwiskiem i imieniem autor podpisał się pod wierszem.

Oto w jednym z pism naszych czytamy wiersz, bardzo zresztą udatny:

„Skalistą, twardą życia ścieżyną, szedłem za gwiazdą swoją, patrząc *wzgardliwie* na tych, co giną, walki się z losem boją. I nigdy z wyżyn zstąpić nie chciałem w życia padołów ciemnie, do ludzi z *sercem nędznem i małym*, bo *wstręt* wzbudziłi we mnie. Dziś, gdy ma gwiazda zbladła i zgasła, zwątpień mnie przeszły dreszcze, patrzę w nizinę—tam szukam hasła, *ale nie padam jeszcze*.“

Kto to mógłby wiersz taki napisać?...

A no, człowiek dojrzały, mający prawo ze *wzgardą* patrzeć na ludzi, bo *prawo* do tego dały mu czyny jego i wyższość moralna i umysłowa. Na drodze swojego życia spotykał *serca nędzne i małe*, wreszcie doszedł do kresu, gdzie gwiazda jego zbladła i zgasła. Nie pada *jeszcze*, ale wędrówka skończona prawie. Przedstawiamy więc sobie poetę z czołem troską zoranem, może z włosiem przedwcześnie siwiejącem, a życiem złamanego.

Gdzie tam!

Jest to kilkunastoletni młodzieniec, uczeń piątej klasy. Gdzie życie? gdzie doświadczenie? gdzie prawo do pogardy?... Słowa, cześć słowa! jak powiada Ig. Baliński w jednym z przepięknych wierszy swoich.

A oto drugi młodzieniec, chce życie swoje utopić w uściskach dziewczyny. „Przez *lat tyle* wszędzie cię szukałem—powiada—*we łzach*, trwodze, ból krwawił mi łono.“

„Siadź—błaga—nagie ręce zarzuć mi na szyję, pieśń i całuj, patrz już ledwie żyję, nie

nie nęci mnie i w nic nie wierzę! Ratuj więc i pieśń—grzyź—całuj... Jeszcze mam pieniądze.“

Czy tak zaczynają „wieszczę?“

A oto trzeci śpiewak w sile wieku i talentu taką nutę z lutni swej dobywa;

„Wiem dobrze, żem pyłem, jak rdzą kruszec przeżarty, przez ból neurastenii. Czarna otchłań nicościwa przeraża.“ „Wysysają krew lodowe (?) upiory“ „Płacę gorzko pośród wiar dawnych cmentarzów,“ „wyziębiony, sceptyczny, zbolały i chory“ w oku ma obłęd, rozpacz wypieka mu na twarzy, „ogniste kolory.“

Jezus, Maryja, Duchu Święty i to mają być wieszczę narodowi, Tyrteusze przyszli, z pretensją do sławy za to, że wzgardę rzucają ludziom, że w nic nie wierzą (dodajmy nawiasem: nauk nie skończywszy jeszcze) żądają ratunku, za te bóle neurasteniczne i wypieki koloru cegły na twarzy? Panowie moi, chce mi się im powiedzieć, jeżeli macie tak przedwcześnie dusze wyziębione i puste jak stodoły serca, kończcie raz już te bezmyślne kwilenie, bo społeczeństwu naszemu ręk żelaznych a duchów silnych potrzeba, a jeżeli wieszczów, to takich, którzy umieją czuć „za miliony,“ jasno i twardo stać wśród swojego narodu i świecić „czynu tarczą własną.“ Jeżeliście nie zdolni do tego, rzućcie wasz bardon, bo nie znajdziecie słuchaczy, „ceglasty kolor waszej twarzy“ pokazujcie doktorom, a dla nas „bądźcie lepszej cery.“

Czy zasługę na gniew wasz?... Mniejsza o to! ale z poezji szpitala nie róbcie, bo inne jest jej przeznaczenie.

Doprawdy, że jeżeli nie śmiech to gniew wzbiera w duszy, gdy lada pisklę o cierpieniach swoich kwilić zaczyna i twarzą bladą słuchaczy zając myśli. Co za lichy!... Czy wam *nektar bacha* przedwcześnie mózgi wasze wypali? W takich razach nie dla was źródło wód kastalskich. Im mniej w społeczeństwie jednostek chorych tem mu lepiej, a ci, co mówią bogów chcą do niego przemawiać, niech-że mają i moc bogów a jeśli cierpią niech ich cierpienie męką Prometeusza będzie.

Nie przyjrzałem się jeszcze dobrze Warszawie ani sprawom jej. Półtora miesięczny przeszło mój pobyt na Ukrainie, oderwał trochę od Syreniego grodu myśl moją; potrzebowałem, jak każdy smiertelnik odpoczynku a gdzież odpocząć lepiej, jeżeli nie w miejscu rodzinnym, nie w krainie, w której się urodziło i to w krainie mlekiem z miodem płynącej, przesiąkniętej dum pieśniami.

Czas był przesłiczny, niebo rozjaśnionym błękitem patrzyło; chmury gdzieś do snu się układały, wschodu ni zachodu nie zasłaniały słońca, czasami tylko niewielki obłok biały pojawił się na sklepieniu niebieskiem, przepłynął szybko przez morze lazurów i rozplął się i znikł, pozostawiając złotemu rydwanowi słońca wolny obszar do majestatycznego pochodu. A pod tym błękitnym namiotem nieba niezmierny okiem obszar ziemi, gdzie nie gdzie tylko dzwony mogiły, albo kurhany strażnicze, albo z przed historycznych czasów horodyszcze. Do koła step równy, gładki, szeroki, nużący może swoją jednostajnością wzrok nieprzewyczajony do podobnych przestrzeni, ale dla mnie, dla dziecka tych stepów, jakiś urok niewypowiedziany z tych obszarów wieje, za wzrokiem myśl goni w bezmiar, w nieskończoność tajemnic pełną.

Odetchnąwszy powietrzem stepowem, ogrzawszy się słońcem ukraińskim, zacerpnąwszy sporo zapasu sił do pracy dalszej, powróciłem do murów warszawskich i trosk codziennego życia.

Pomimo znacznego wyludnienia się Warszawy, nie znać ubytku w ludziach. Ogródki przepełnione, zabawy w Parku Praskim, w Dolinie Szwajcarskiej, na Dynasach i w Promenadzie udają się wybornie, teatry rządowe i ogródkowe nie świecą pustkami, przeciwnie nawet, przedsiębiorcy dobre robią interesa i z wypełnionymi kieszeniami do swoich stałych siedzib wracają. Rozruszał się nawet Teatr Rozmaitości i nie przeraził widzów wznowieniem tragedii szekspirowskiej. Maluczko, a ujrzymy na scenie teatru naszego nowy dramat autora „Turnieju p. n. „Taboryci.“ Daj Boże, ażeby pojawiało się coraz więcej sztuk swojskich o poważnym za-

kresie, wtedy dopiero nasz teatr odpowie całkowicie zadaniu swojemu i nie będzie pasierbem, lecz ukochanem dziecięcym naszym.

Dowiedzieliśmy się także z dzienników, że projekt utworzenia w mieście naszym szkoły dramatycznej, dochodzi powoli do skutku. Wypracowany i obrobiony zgodnie z potrzebami tej pożądanej ze wszech miar instytucji, przez adwokata przysięgłego p. Wiktora Piątkowskiego, uzyskał zupełną zgodę prezesa dyrekcji teatrów warszawskich i został przesłany J.O. Jenerał-Gubernatorowi księciu Imeretyńskiemu, celem wyjednania zatwierdzenia. Szkoła zostawać będzie pod protektoratem dyrekcji teatrów warszawskich, która oświadczyła również gotowość dawania od czasu do czasu widowisk teatralnych na pomnożenie funduszy szkoły.

Że szkoła dramatyczna, kształcąc dobrych artystów, jest koniecznością palącą, o tem nikt wątpić nie będzie, kto tylko bacznie zwróci uwagę na dzisiejszy personel naszego teatru, na jego dzisiejsze siły i zechce sięgnąć pamięcią w czasy one, gdy na scenach Rozmaitości królowali tacy bogowie sztuki jak Królikowski, Żółkowski, Modrzejewska w stosownem otoczeniu swity swojej. Jeżeli dzisiaj teatr nasz pociąga jeszcze widzów i lwie swoje pazury pokaże, nie młodszym to siłom zawdzięcza, ale resztkom wspaniałej, dawnej armii, do której Rapałki, Leszczyński i Ładnowski należeli, którą dziś podtrzymują Wolski i Frenkel, przypominając świetność jej dawną. Lecz gdzie są siły młode, o talentach wybitnych, na których mogłaby spocząć przyszłość sztuki polskiej?

Nie widzimy ich wcale.

Szkoła dramatyczna nie wytworzy wprawdzie talentów, ale nauczy chodzić i mówić, poprawi dykcję, która w wierszowanych utworach wprost jest fatalną. A gdy się talent pojawi, będzie miał sposobność wybicia się na wierzch i pewność, że nie zmarnieje w wędrówce od teatru do teatru, w tem tułactwie, gdzie główną rolę gra protekcyja, ukłon nizki, a u niewiast buzia, umiejająca się uśmiechać. Bądź co bądź, podniesie się i poziom moralny młodych adeptów, szczególnie adepteckie sztuki, bo talent rzeczywisty będzie miał drzwi otwarte do zapełnienia luk Teatru Rozmaitości. Nauki zresztą nie będą prowadzone dorywczo, musi być w nich zastosowana systematyczność pewna, a popisy wychowawców przed publicznością, zmuszą panów profesorów do sumienniejszego zajęcia się uczniami.

W jednym z numerów „Tygodnika Ilustrowanego“ czytaliśmy artykuł, dowodzący, że Warszawa daremnie rości pretensję do nazwy miasta europejskiego, że nie prócz tej „pretensji“ nie ma z mniemanej wielkości swojej. Że tak jest, i my to z ciężkiem westchnieniem przyznać musimy. Autor artykułu kładzie szczególny nacisk na zewnętrzne upiększenie miasta. Uderza go szczególnie brak posągów, my dodamy — i brak placów, na których można byłoby wznosić te posągi. Warszawa źle się zabudowuje, przecina się wzdłuż i poprzek ulicami wązkimi, nie zostawiając nigdzie większej przestrzeni na rynki, które są zawsze prawdziwą ozdobą miasta.

Ale sześćkroćstotysięczna ludność Warszawy nadaje jej pewne prawo do nazwy miasta europejskiego.

Tego samego prawdopodobnie zdania jest i p. Goldberg, który podniósł myśl utworzenia zwierzyńca w mieście naszym.

Przed laty dziesięciu mieliśmy już jeden zwierzyńiec w Warszawie, publiczność nie poparła przedsiębiorców i aferzysty na łeb i na szyję stracił.

Myśl jednak ogrodu zoologicznego tułała się ciągle w umysłach Warszawiaków, zaczęli więc przebąkiwać o składkach dobrowolnych na ten cel przedsięwziętych. Projekt był dziwaczny w zasadzie, mówiący o dobrych chęciach, ale w praktyce niewykonalny. Przedsiębiorstwo podobne, jak każde przedsiębiorstwo, musi być koniecznie połączone z zyskiem pewnym, duży mieć kapitał i pewność powodzenia. Zwierzyńiec musi być od razu postawiony na stopie wielkomiejskiej, mieć otoczenie właściwe, to jest przestrzeń ogrodu pięknego, który, okrom zwie-

rząt, pociągać powinien publiczność powabem przechadzek, urządzeniem wybornem i piękną widok. Tego właśnie brakło „Bagateli“: szczupłość miejsca dawnego zwierzyńca, nie pozwalała spacerowiczom ani świeżem powietrzem odetchnąć, ani wzrok nasycić piękną naturą. Przeszedłszy od klatki do klatki, gdzie słoń się kiwał, albo tygrys królewski wylegał się na słońcu, przechodzień nie widział nic już nęcącego dla siebie. Z ogrodu wypędzał go zaduch. Nazajutrz wolał zamiejskiej użyć przechadzki niż dusić się w ciasnocie „Bagateli.“

Ażeby nowy zwierzyńiec miał powodzenie, potrzebna mu jest niezbędnie — przestrzeń. Celowi temu odpowiedzieć może jedynie Park Praski. Prześliczna ta miejscowość, stosownie urządzona, stanie się bezwarunkowo jednym z najulubieńszych miejsc dla warszawiaków. Widok z parku praskiego na Starą Warszawę jest tak malowniczy, tak cudownie piękny, że godzinami całemi przesiadywać tam można, wsłuchując się w szept fal wiślanych, wpatrując się w tęczową grę kolorów murów staromiejskich. Park praski stać się może warszawskim „Praterem“ podczas gdy dzisiaj jest miejscem rzeźmieszków, schroniskiem złodziejstwa i rozpusty. Urządzone odpowiednio, najpiękniejszym ogrodem naszego miasta byłby właśnie ten ogród nadwiślański.

Ale do urządzenia tego ogrodu i zaprowadzenia w nim zwierzyńca, potrzeba olbrzymiego kapitału. To też przedsiębiorca powinien się z tem liczyć. Posiada odpowiednią sumę, niech śmiało do roboty się bierze, nie — niech zamysł swój na bok odłoży. A jednak szkoda, gdyby myśl p. Goldberga spełzała na niczem. Mamy jednak w Warszawie kapitalistów, którzyby połączonymi siłami mogli stworzyć rzecz prawdziwie piękną, nęcącą powabem i przynoszącą z czasem niemałe zyski. Szczegrze ich nawołujemy do tego przedsiębiorstwa, bo nie dziś, to jutro, pozna się na tym interesie jakiś nabab z nad Sprewy i dopiero, gdy kieszeń swoją naszemi pieniędzmi nabijać pocznie, otworzą się nam oczy a jak zwykle — zapóźno. O p. Goldbergu nie wiemy nic dotąd pozytywnego, jak też niewiadome są nam jego finanse. Wiadomem tylko ma być, że p. Goldberg rozpoczął już układy z wielką firmą Hagenbecka w Hamburgu, która ma dostarczyć dla zwierzyńca warszawskiego zwierząt za 200,000 rb., licząc w takiej sumie swój udział w projektowaniu dla tego przedsiębiorstwa towarzystwie akcyjnym. Prócz tego nie wiemy nic, nie domyślamy się nawet, gdzie ma być ów przyszły zwierzyńiec. Powtarzamy też raz jeszcze, że jednym z główniejszych warunków powodzenia podobnego przedsiębiorstwa jest — przestrzeń, ażeby każdy z odwiedzających zwierzyńiec mógł użyć swobodnie przechadzki, zamiejskim odetchnąć powietrzem i mieć prawdziwą rozrywkę dla oczu i uszu, bo konieczna jest i muzyka i pawilony, gdzieby podczas deszczu ukryć się można było, i restauracye i kawiarnie, słowem wszystko to, czego tylko potrzeba, by odwiedzającego dłużej zatrzymać i do odwiedzin zachęcić. Miejscem dla takiego ogrodu jest tylko park za Wisłą — innych miejsc Warszawa nie posiada.

Na zakończenie pogadanki dzisiejszej, donosimy czytelnikom naszym o wyjściu zeszytu 4-go „Albumu biograficznego zasłużonych Polaków i Polek.“ Wartość wydawnictwa nie potrzebuje pochwał, mówi sama za siebie. Jedyną złą stroną Albumu, było — opóźnianie się zeszytów. Obecnie, jak dowiedzieliśmy się na miejscu i to zło usunięte zostanie. Opóźnianiu się nie redakcyja była winna, lecz środki techniczne. Teraz ma być inaczej. Zatem zjednoczonemi siłami przyjmijmy to wydawnictwo piękne.

ODPOWIEDŹ.

Różnemi stery i na różne drogi
Pchnąć mamy łódzie smutnego żywota...
Nie dla mnie płoną złotych gwiazd rozłogi,
Nie dla mnie zorza zapala się złota,
Nie dla mnie światów nadniebnych pożogi
I za światami, co giną, tęsknota;
Ja, mały atom na najmniejszym z światów,
Mam dosyć bólu, dosyć łez, dramatów.

I ty się nie śmiej, że żądam tak mało,
Błyskawicowych nie pragnę podróży,
Bo mnie się z serca dużo krwi ułało,
Krwi, co w twem łonie wre, szarpie się, burzy.
Mnie także dawniej piersi wewnątrz drżało,
Na twarz wybiegał odbłyśk krwawej róży,
Skrzydła się nieraz wznosiły do lotu,
Dzisiaj minęło wszystko — bez powrotu...

Wierzaj: my ludzie. Z naszych żądz tysiąca
Ty tę nazywasz tylko żądz mianem,
Co wiecznie pragnie i wiecznie pragnąca,
Pogardza każdym uciech rostruhanem,
Nie zna pragnienia granic, ani końca.
Ty, znając życie, śnisz o czemś nieznanem,
Tyś nie próbował za życiem tęsknoty,
Więc po za ziemią stawiasz żądz namioty.

Lecz, gdybyś poznał, bracie mój, jak boli
Życia ścieżynkę porzucać wzgardzoną,
Wyrzec się bytu, świadomości, woli,
Powracać znowu na nicości łono,
Nie kończąc nawet życia swego roli,
W przemian pielgrzymkę znów iść nieskończoną,
Możebyś dumną porzucił pogardę,
Pokochał życie, czoło schylił harde.

Chcesz, bym szedł z tobą, gdzie gwiazdy rozlały
Promieni morze, w lazurów błękity?...
Ale ja na to za niski, za mały,
Nie wierzę nawet w zórz ziemskich rozswity,
I w małej ziemi wielkie ideały,
I w ziemskiej myśli kierunek niezbity...
Ty idź, ja sam tu zostanę z żalobą,
Lub... jeśli siłę masz, i mnie weź z sobą!

O, weź mnie z sobą! Na skrzydła z dyamentów,
Co u twych ramion drogę tobie znaczą,
Porwij mnie; wynieś z pośród życia mętów
Dolę mą biedną, skrzywioną, tułaczą;
Wynieś myśl moją, gdyż pełna zamętów
Ginie wśród kruków, co żałobnie kraczą:
Ja z beznadziejnych snów walczę chorobą,
Więc spojrzuj, powróć i zabierz mnie z sobą!

Ale ty lecisz w gwiazdy zapatrzone,
Dla ciebie skrzydła twe zamało chyże;
Dumasz, jak poznać jeszcze wyższe tony
W wszechświata pieśni, jak wszechświata wirze
Nie stracić wątku myśli zamaconej...
Patrz na mnie, bracie, jak ja stoję w kirze
I wołam: życia bądź drogoskazem,
Spójrzuj ty na mnie, wróć i lećmy razem!

I ty się nie dziw, że myśl twą i ciebie
Chcę w ramki zwykłe osadzić i wtłoczyć;
Nie każdy w jasnym może bujać niebie,
Nie każdy z tobą bój powietrzny stoczyć;
Więc też na skrzydeł złamanych pogrzebie
Szyderstwa szatą chciałbym się otoczyć
I wołać głośno, z tajoną żalobą:
Nie wracaj po mnie i nie bierz mnie z sobą!

Zygmunt R.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

I.

Prześladowano niegdyś ludzi podżytych, że ganią rzeczy obecne kosztem minionych i — młoda jeszcze — powiedziałam sobie: uniknę tego błędu, pójdę za postępem wieku, nie pozazdrośćę młodszemu, że im ten świat uśmiecha się w wiosnie życia, odżyję spoglądając życzliwie na szczęście następnego pokolenia. Dotrzymałam sobie słowa, a przecież smutno mi nieraz spojrzeć na znudzoną młodzież; rada użyłaby im towarzyskiego życia, w jakim pierwszy mój wiek spędziłam.

Jeżeli w ważniejszych stosunkach interes wpływał nieraz na zmianę planu życia, to przecież nie występowało z nim naprzód, uważano to jako smutną konieczność, a przekonanie, uczucie, wdzięk pożycia ścisłego, były, a przynajmniej zdawały się być u młodych najpierwszą pobudką do zawierania związków. Zatem szła nieograniczona delikatność w postępowaniu, chęć podobania się wzajemnie — zdobycia wielorakich wiadomości, talentów milego wysłowienia, — dla tego kształcono umysł i serce, a przez ciągle baczenie na powierzchowność młodzieży, wyprowadzano na świat ludzi płci obojga, zdolnych uprzyjemnić wzajemnie nie tylko życie salonowe, ale i cichy zakątek domowy; niezaprzeczoną bowiem jest zasadą, że nauki i umiejętności, obok moralnego uczucia, podnoszą wdzięk istnienia, łagodzą obyczaje.

Czyli obraz ten odpowiada dzisiejszemu życiu towarzyskiemu? pytam siebie, ale odpowiedzieć nie śmiem, aby nie napisać gorzkiej satyry. Były istotne błędy w dawniejszym ówczesnym zapatrywaniu się na rzeczy, ale kwiat społeczeństwa nie osiadł na tej niwie wulkanicznej. Obojętność dla religii, wywołana filozofią XVIII-go wieku, zaprawna dowcipem Woltera, wkradłszy się w niedojrzałe umysły, nie tylko poniżyła, ale zniweczyła w narodzie to wysokie uczucie, stanowiące miły spokój duszy, pociechę w troskach i tę wewnętrzną godność człowieka, która go wznosi do pojęcia Stwórcy.

Nadto, gdy kobiety słyszeły wdziękami i dowcipem na dworach, lub wywierały wpływ wyższością umysłu na ważne w świecie wypadki, mało znajdowały czasu do pełnienia obowiązków swego powołania i dla tego gardziły szczegółami domowego gospodarstwa. Niedokształcone, nie pojmując swego przeznaczenia, utalentowane lub nie, aby naśladować stolicę i wyższe koła towarzyskie, wstydyły się rządu domowego. Jeżeli na którą z nich działał dobry przykład rodzicielski, albo wrodzona skłonność i oddawała się pracom domowym, to przecież byłaby miała za ubliżenie, gdyby ją kto był miał pochwalić z tej cnoty. Nie zastanawiały się nadtem, że gospodarność, będąc najpierwszą podstawą bytu materialnego, dopomaga moralnemu przez utrzymanie przyzwoite, spokój i przyjemności domowe, ułatwia spełnianie obowiązków rodzinnych, którym życie patryarchalne najwięcej sprzyja, — że oszczędność zbiera zasoby dla dobroczynności i jest matką szczodroty — nade-

wszystko, że zajęcie się sprawami domowymi zbliża nas do biedniejszych, którym winniśmy oświecenie, wsparcie i pociechę.

Sprawiedliwie wyznać należy, że dzisiejsze pokolenie pod tym względem naprawione jest i że dążność religijna, zewsząd objawiająca się, zapowiada błogą przyszłość. Niech tylko kobiety, których uczucie niezniekane wirem rozległego działania, zaszczerpią to ziarno niebiańskie w serca dzieci, kochanków, mężów i braci swoich, — niech wiodą ręką roztropną zależnych od siebie i obowiązanych dobrodziejstwami, — a dopełnią szczytnego przeznaczenia, używając jedynego wpływu, przez który wolno im działać na powszechność.

Piękny to jest udział, kiedy obdarzone wdziękami i czułością i tą najpotężniejszą władzą macierzyńską, co im w pierwotnym związku otwiera serce dziecięcia, zdołają wpoić miłość i zaufanie do siebie, a natchnawszy je własnym uczuciem, przeniknąć je uwielbieniem dla Twórcy wszech rzeczy; jeżeli miłość dla współbraci utwierdzą głęboko w uczuciu młodocianem. Aby uwiecznić uczciwe zasady, potrzeba przesłać je w daleką przyszłość! Zdołają obliczyć wszystko dobre, mogące być dziełem ich słabej istoty, jeżeli pomną, że ono wzrośnie i rozkrzewi się w najdalszych pokoleniach skutkiem ich usiłowania!... Na to im dane to wspaniałe uczucie, które w niczem innem na ziemi zaspokojenia nie znajduje.

Nie mogę chwalić kierunku, jaki nadawano tkliwości kobiecej w epoce mojego wychowania; wyrozumowano, i bardzo słusznie, że czytaniem udoskonala się umysł ludzki. Aby więc zaprawić chęć do tak pożytecznego zajęcia, dawano dzieciom powieści czarnoksięskie, pełne dziwacznych, ale nader zajmujących urojeń. Od tych, dorastając, młode osoby przechodziły do powieści moralnych, zakrawających na romansik, czasami dość żywy. Kończono wysoko uczuciowymi romansami, bez wyjątku prawie niebezpiecznymi; pochlebając namiętnościom, stawiając na piedestale szal w miejsce cnoty. Najbardziej zasady zaszczerpiano zręcznym obrotem, trafem wysłowieniem. Podniecano uczucia tkliwym uniesieniem lub zapalem. Na wzniosłej mieszcząc podstawie bohaterów bojów miłosnych, okazywano młodocianej wyobraźni ludzi, jakich świat nie miał; ztąd wynikły złudzenia, a kiedy wkroczone w obręb działania, spotykały się charaktery wiele niższe od tych, które poznano na stronicach romansu. Te pisma najwięcej obudziły uczuciowość płci naszej, bo mężczyźni, ścierając się wcześniej ze sprawami i interesami świata, umieli ocenić rzeczy podług właściwej wartości, — a nam, nieobeznanym z rzeczywistością, pozostawała cała gorycz bolesnej pomyłki, która niejedną ofiarę przedwcześnie doprowadziła do grobu, niejedną rodzinę osierociła z matki.

Niedołężne były środki, jakich przez literaturę używano do wykształcenia umysłu i serca, aż do zjawienia się utworów Waltera Skota, którego romanse czyste i bogate w piękne obrazy i czyny, zostaną na zawsze najpiękniejszym darem dla młodych. Teraz w przeciwną uderzono stronę. Jakże się oprzeć obawie, którą zbudza rodzaj romansopisarstwa, zdzierającego wszelką osłonę z najtajemniejszych występków i kału, w którym się poniżona ludzkość tarza. Zdaje się, że znakomitsi autorowie użyli swego talentu do odkrycia nędzy i ohydy społeczeństwa, aby zarazem wskazać środki wydobycia z przepaści błędów zaniedbanych współbraci swoich, ale naśladowcy ich, odstąpiwszy od głównego celu, przedstawiają tylko obrzydłą stronę obrazu, pocieszając zbyt lekkim świąteczkiem. rzuceniem na tło brudów, przez jakie przeprawili czytelnika. Cóż zawinił czytelnik, że zamiast miłych wyobrażeń, rozsądnej nauki, upiększenia zmysłów harmonią wyrazów, w miejscach wzorowych lub zabawnych scen życia, jest zniewolony przechodzić całe tomy oburzających rozmów, nazwisk i śmieci najohydniejszych?

Dają się też dostrzegać skutki tych płodów. Młodzież rozgrzewana powieściami, w których bohaterki tyle niekorzystne odgrywają ro-

le, uczy się wcześniej gardzić drugą połową ludzkości, obojętnie dla życia rodzinnego, do utrzymania którego trzeba wytrwałości i pracy, oddają się więc bezczynności. Młode panienki, zgorszone postępowaniem tych, z których wybierają małżonków, obliczają się tylko z fortuny i marzą o usamowolnieniu.

W coż się więc obróci związek małżeński? życie rodzinne? Do czegoż ta obawa powierzenia bytu swego opiece dzielniejszej istoty doprowadziłaby?... Nie inaczej, tylko do rozprężenia obyczajów i zerwania ustaw towarzyskich.

Gdzie społeczność do tego doszła stanowiska, że każdy o sobie tylko myśli, tam nie jej nie pobudza do utworzenia bytu rodzinnego, na którym opiera się cywilizacja europejska, będąca wpływem odrodzenia chrześcijańskiego. W pożytku małżeńskim jedynie liczyć można na poświęcenie, na przychylną rzetelność; tam człowiek, mając zadanie utrzymania i podniesienia bytu wzrastającej rodziny, staje się czynnym, przewodnicząc moralnie potomstwu swojemu, staje się cnotliwym, a schyłony wiekiem zaznaje pociech, bo odrodzony w dzieciach, zostawia im owoc swej pracy, widzi siebie w tych, co byli zawsze celem najczulszej przychylności — i zstępuje do grobu z przekonaniem, że długo jeszcze w wdzięcznych sercach przeżyje.

Pewnego dnia zapytałam młodych moich towarzyszy: „Czemże zasłużyliście na obojętność, jaką wam powszechnie młodzież okazuje? Nie jesteście ani mniej ładni i kształtni, macie gruntowniejsze wiadomości, aniżeli miały moje rówieśniczki, jesteście czynni i rozsądni, wyborne byłoby z was matki i żony. Jakże się dzieje, że nie zdolacie wzbudzić słodkich uczuć w tych wiecznie palących tytuł i przeczucach cichych kart młodzieńców? Oni się z teminawet zaletami nie raczą popisywać przed wami, ale wstawiając od uczty, jaką im skrzętna ręka rodziców waszych przygotowała, oddalają się, aby porzuciwszy resztę przymusu, jaki nakazuje salon froterowany i obecność wasza, oddać się swobodom fajczanego gabinetu.“

Zbliżywszy się, *najśmielsza* z nich odpowiedziała: „Babuniu, ci panowie przenoszą bezczynność nad wszystko! Dla tego więc w szkołach mało się uczą, później wcale się nie kształcą. Skoro który ma majątek, każe się wyręczać; jeżeli go ma albo utraci, udaje się do towarzysza — u niego, z nim pali i gra, dopóki ich na to stanie i tak następnie żyje z innymi kolegami.“ Któżby im radził, dodała *druga*, nabywać nauk, wiadomości, miłych talentów, uprzejmej mowy, albo podwyższać ich stanowisko w świecie, albo nam się przypodobać? Dla przeprowadzenia poważnego planu życia, trzeba — odezwała się *najstarsza* z grona, — poznać swoje położenie, obmyśleć środki dążące do celu: trzeba usiłowań, dzielności, pracy, trzeba się wyrzucić z zakorzenionych przesądów. Cóż może nimi powodować, aby się brali do skromnego zarobku? jeżeli ich nie stanie na życie pańskie, do którego niezgłębiona w zamiarach swoich natura utworzyła ich osoby? — oni istnieją bez względu na przypadkowe wydarzenia losu. Bez własnego domu, własnej rodziny, poważania, dyspozycji własnym uczuciem zapracowanym majątkiem lub dochodem, łatwiej się obejść, jak bez lulki, kart i ekwipażu, chociażby cudzego. *Ostatnia*, śmiejąc się dodała: a kiedy nie stanie na ekonomiczność, to jeszcze starczy na stangreta i ekwipaż. Cóż po gospodarstwie uprzykrzonym na folwarku? Przemysł rolniczy, to móżół; poezja przyrody — to mara!

— Dla czegożby — rzekłam, — syn właściciela, ojca licznej rodziny, miał gardzić przemysłem, nie zechciał zawiadywać systematycznie cudzem gospodarstwem przy porządnej pensji, albo kształcić się w zakładzie fabrycznym, stowarzyszyć się w uczciwym domu handlowym, nabywać wiadomości szkolnych dla udzielania ich w klasach lub prywatnie urzędzonym zakładzie? Wszystko to są gałęzie pracy, z których ludzie się utrzymują i robią majątki, zasługują sobie na poważanie, kiedy z tem łączą godność charakteru.

— Ale młodzież nasza, — odezwie się jeszcze

jedna z panien, — ma wyższe o sobie wyobrażenie!

— A więc usprawiedliwiasz bezczynności odrętwienie umysłu, wielbisz los, który cię uczynił równiecnicką tych panów.

— Poddaję się memu przeznaczeniu, kwituję z losu i z ludzi.

— Ja wcale nie! — zawołała figlarka, — zamówiłam w fabryce materje litografowane w cztery kolory kart francuzkich: przybiorę strój dam karcianych, a jeżeli z cygarem w ustach nie zdobędę serca, — to wstąpię do klasztoru.

— Okryj się listami zastawnymi, uchowasz się od rozpaczki!

— Pod tem ciężkiem okryciem znikłaby moja osoba i stała się zerem.

*
*
*

Ktoby sobie założył skierować umysły do pewnego celu, powinienby tworzyć powieści, zastosowane do potrzeby czasu; dla uskutecznienia takiego zamiaru należy jednak mieć powagę opinii i wyższego talentu. Nie mogąc się oprzeć na tej podstawie, ośmieliłam się wystawić zboczenia, na jakie się powszechnie dziś żalą, a teraz będę opowiadać po prostu *prawdziwe zdarzenia*, jak mi się w biegu życia nasuwały, ukrywając tylko nazwy miejsc i osób działających na scenie mojego świata. Z ich treści wysnuję pogląd na zmiany kolejne w wyobrażeniach i życiu społecznym. Po długim zapatrywaniu na sprawy ludzkie, dążności i postępowanie, zyskałam przekonanie, że w którąkolwiek stronę skieruję się, zawsze chwalebne widzę pierwiastki; ludzie gienialni rozpoczynają zawód — z uniesieniem przyjmują światła część społeczeństwa rzucone pomysły; mierność je chwytą, stroi się w nie i zużywa; pomięte wpadają w ręce tłumu, spotworznią i zarażają grube umysły przewrotnem tłumaczeniem. Gdyby wróciły do pierwotnego źródła po odbytem obiegu, twórca przelakłby się i zaparł potworu, co go wywołał czystym i jaśniejącym mocą swego gieniuszu. Przerażony umysł w przeciwną uderza stronę; oddziaływanie błogie przynosi zmiany, ale droga umiarkowania zbyt łatwa do przekroczenia, a zakres w śmiałym zapędzie idzie niewstrzymany i stawa... nad przepaścią!... A potem? Szuka znowu nowego wyjścia. Takim jest odwieczne koło postępu, w którym się nieprzestannie umysł ludzki toczy, zapuściwszy się w dociekanie niedościgłych rzeczy; zapewne wlane jest w istotę ludzką ten popęd niecofny — doświadczeniem wieków, bo gdyby wiedza ludzka stanęła u końca dochodzeń i raz jeden oparła się na niewzruszonych prawidłach, ruch umysłowy ustałby, z nim najpiękniejsza część działalności rozumu, prowadząca do najważniejszych i najpożyteczniejszych odkryć, które częstokroć na tych spotyka rozdrożach. Dla tego postępujemy ostrożnie, aby się najmniej oddalać od drogi umiarkowania; nie śmiem wyrzec, że ona jest drogą mądrości. Wszakże gieniusz ma swoje poloty, natężenia, ma rzuty światła! unosi! zachwyca!... a jednak po tylu wiekach człowiek zmienił tylko formy, w które wiedza nasza jest ujęta...

II.

Dwie szlachcianki

Na rynku poznańskim przed wysoką kamienicą z gładkim frontonem i krytym, miedzianym dachem, dwie kobiety, przechodzące wiek średni, spotkały się: „Witam panią, winszuję Nowego Roku! A coż przecie wasińdzkę do nas sprowadza? — zapytuje właścicielka kamienicy. Była to wdowa, pani Rogozińska, kapitanowa, ale bardzo trudnoby odgadnąć godność tej damy: brudne, obwisłe czepeczysko okrywało głowę źle wyczesaną, bo troszkę spierzonych i zamoczonych włosów wykradało się z pod wycoconych falbanek przed i za uszami; twarz więc brudna jeszcze niż śniada, odznaczała się

wklęsłością policzków, ostro garbatym nosem, zapadłymi siwymi oczami; postać drobna, szczupła, pochylona, płaska, okryta suknią z szarego perkaliku, zmiętą i poplamioną, a na niej tołuba z popielatego niegdyś racymoru, który straciwszy lustr fabryczny, przeszedł rozmaite stopnie matu i nabył połysku blachy w miejscach najwydatniejszych.

Była ona totumfacką wszystkich dam z okolic Poznania, znała wszystkie tajemnice miejscowego towarzystwa, nowiny kursujące, — znała tyle, co biuro adresowe kupców i sług do przyjęcia. Druga, wysokiego wzrostu, długiej twarzy, pospolitych rysów, uderzających bardzo wystającą i przedłużoną brodą, z głową wysoko podniesioną; chód jej był śmiały. Kaszkiecik miała aksamitny, czarny, nie świeżej mody, szyję owianą chustką w kwiaty, szubę zieloną grodeturową, lisami podbitą; nogę obutą w ciemy osznurowane na korkach. Rękawiczki nosiła trykotowe, robione z przędzy jedwabnej, a ta się składała z gałganków skubanych i grępolowanych rozmaitego koloru, — wszystko było dziełem jej guzłowatych paluszków.

— Wzajemnie, — rzecze pani Dziewosłowska, dzierzawczyni szambelana.

— Przybyłam na wczorajszy jarmark godzić czeladź. Ofiarowałam się dziś do Pana Jezusa, bo jestem w kłopotcie moja mością dobrodziejko.

Tu się zastanowiła, podniosła brwi i zrobiła giest, jak gdyby za uszy podrapać się chciała; ale widząc się na publicznym rynku, opuściła rękę, kiwnęła nią i westchnęła.

— Pani mi coś miżerna! — mówi Rogozińska.

— A jakże tu dobrze wyglądać, kiedy oto ustawicznie jakieś tam urządzenia nigdy niesłychane te Niemcy wprowadzają, a zawsze: beca! beca! (bezahl!)

— Bodaj się to święciły dawne czasy, kiedy nieboszczyk mój był kapitanem! Ani mi kto do domu nachodził; komorne zebrawszy schowało się do kieszeni, a za pośrednictwem Mordka na wysokie wydało procenta i fantów było co nie miera i na termin się odbierało, — a teraz! Niemiec a żyd porozumieją się tym baranym językiem, a niechże się wierzytel nie uści, to korowodów z tłumaczami a landrayterami! Człowiek tego wszystkiego nie rozumie, ino że płaci, a sprawy się nie doczeka.

— Ale i wasińdzka mi coś zakłopotana? Wzdrygła ramionami pani Dziewosłowska:

— Kończy się dzierzawa na rok pański 1796, którego rozpoczęcia mam zaszczyt powinszować W: pani dobrodziejce w dniu dzisiejszym.

Tu obiedwie ukłoniły się,

— A szambelan nie chce na przyszość wypuścić Cielimowa; dobra to kondycja, ale się zmądrzył; dopóki żyła nieboszczyca, miałam łaski; rozmaicie się człowiek przypochlebił. Pani lubiła rezydentki; dumna i ocieżyła, wołała w domu się bawić, jak uczęszczać w gościnę; ale też za to nie miewała gości, chyba kogo z blizkiej rodziny, albo kiedy uprosiła kompanię, co się dość często zdarzało; trzeba ją było bawić. Nie trudno było i o bawiających; po kilku tam przebywało szlachty i dam respektowych, a że ja najdawniejsza i najbliższa, to też odsadziłam inne, bo ich kosztem ubawiłam dziedziczkę, kiedyśmy się sam na sam znajdowały. A potem jej kolaska i para koni, zostawione do mej dyspozycji, dokonywały reszty, bo objechawszy sąsiedztwo, nadawadywałam się nowin o 10 mil w okół. Tym sposobem miałam czem bawić moją dobrodziejkę — i nie była obcą niczemu, choć się mało z domu wychyliła. Nie brakło jej też za to na pogadance, kiedy się zjechało sąsiedztwo na imieniny lub inną galę. Przemennie wiedziała wszystkie mody, nowości kramne i użytek różnych wynalazków, mebli i przysmaków wprowadzonych przez Niemców, co to z każdego figla grosz umieją zrobić. Ale któż ma kupować, kiedy nie taka bogaczka! Panie świec nad duszą jej! Miałac i kapelkę za życia, to ją odprowadzili z muzyką do grobu.

Kapitanowa słuchała uważnie; tak rozmawiając już były weszły do pokoju, bo było zimno przeraźliwe. Rozgościła się przybyła: zdjąwszy szubę, została w porządnym szarafonie. Chust-

kę pstrą rozpuściła na ramiona, w lusterku poprawiła kaszkiecika na głowie, a dobywszy z zabutki zegarek srebrny w kształcie cebuli, z pękiem dewizek stalowych na półłokciu wiszących, spojrziała, głową zakręciła i pod nosem mruknęła: „to już jedenasta, czas na sumę.“

Meble pani Rogozińskiej odpowiadały jej ubiorowi; wyziewy ścierek i starego łoża panowały w tem zniszczonym pomieszkaniu, lubo ono było częścią najokazalszej naówczas kamienicy. Nie mogło być inaczej, bo ta pani przez oszczędność kości nawet po ulicy zbierała. Weszła gospodyni; za nią zezowata i kulawa służąca w barwach nieczystości, przywiązanej do całego otoczenia, niosąc tacę ze śniadaniem.

— Nie laska pierniczków i anyżówki; mościa dobrodziejko? Dobry trunek na frasunek, a przy tem zimnie to się rozgrzać trzeba! Do wasińdzki! Przyjęła Dziewosłębska kieliszek, odpowiedziała dobrym łykiem i przypomniała zarazem, że czas do kościoła.

— Ale ja to jeszcze miałam z panią do pomówienia, — rzecze gospodyni — bo mnie jej kłopot mocno obchodzi; możebyśmy temu i zaradziły, ale teraz nie czas. Gdzie pani stoisz?

— U Grzelachowskiego, zaraz naprzeciwno; proszę do siebie na kawę z dobrą śmietanką wiejską, jakiej tu nie macie!

— Oj! co nie, to nie! — odparła żywo Rogozińska, rada, że tak gładko uniknęła zaproszenia gościa na obiad do siebie, — będziemy robić projekt dla drugich, nie zapomniawszy o własnym interesie i pójdziemy na nieszpory modlić się o powodzenie dla zamiarów naszych.

— Zgoda! — odrzekła Dziewosłębska, biorąc szubę i wyjmując książkę do nabożeństwa z głębokiej kieszeni.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 4 Września.

I znowu sprawa Dreyfusa rozbrzmiewa w Paryżu. Pytanie, czy nastąpi rewizja procesu, zajmowało całą prasę paryżką. Jeszcze urzędowej wiadomości nie było, chodziły już jednak pogłoski, że gabinet, który odbył naradę, postanowił decyzję trzymać do czasu w tajemnicy. Dwie są drogi rozpoczęcia procesu: albo unieważnienie pierwszego wyroku w skutek formalnej wadliwości proceduralnej, albo kasacja wyroku w obec wyjścia na jaw nowego faktu. Pani Dreyfus wniosła dawniej jeszcze podanie do ministra sprawiedliwości z żądaniem unieważnienia wyroku z powodu, iż sędziom pokazywano tajemnie dowody, nieznane ani oskarżonemu, ani jego obrońcom. Podanie to dotychczas uie jest załatwione. Zwolennicy rewizji twierdzą, że świeżo wykryte fałszerstwo i śmierć Henryego, nie może nie mieć prawnych następstw dla procesu Dreyfusa. Przeciwnicy zaś utrzymują, że dokument sfalszowany w r. 1896, nie miał żadnego wpływu na sędziów, którzy wydali wyrok w 1894. Twierdzenie to opiera się na tem, że Dreyfusa skazano głównie na podstawie zeznań Henryego, a Henry, który się dopuścił fałszerstwa, może tem samem być podejrzanym o złożenie fałszywego świadectwa. Druga narada gabinetu odbyła się. Wezwano na nią ministra Bourgeois, który bawił na urlopie w Szwajcaryi. I oto minister wojny Cavaignac, który do ostatniej chwili nie godził się na rewizję procesu, podał się do dymisji, a rada ministrów pozostawiała przeprowadzić rewizję, ulegając opinii publicznej, nacierającej w Paryżu całą siłą na gabinet.

Nie omieszkać podzielić się z czytelnikami wiadomościami w tej sprawie, skoro coś nowego nastąpi.

Tymczasem zanotować muszę smutną wieść, przychodzącą z Dahomeju. Kapitan Cazemajou, sześciu ludzi z jego orszaku i jego tłumacz p. Olive, zostali zamordowani w Zinder, miejscu położonem na północy Sokoto, a na południe Damerگون, prawie w równej odległości między Nigrem a Tchad. Pozostali przy życiu z papierami i bagażami zdolali uciec do Ilo, nad brzegami średniego Nigru; tu świeżo został zabity p. de Bernis.

To jedna wieść, a inne trudne do wiary.

Trudne to jest istotnie do uwierzenia, ażeby rodzice pastwili się nad własnymi dziećmi, aby je katowali, morzyli głodem i śmierć im przypieczęszali, a jednak we Francji zdarzają się tego bardzo częste wypadki. Dziesięcioletnia dziewczynka Lucy Guyon tak była przez rodziców głodzoną, że nie mogąc dłużej wytrzymać, sama sobie śmierć zadała.

W mieszkaniu Desjardins, przy ulicy Mazarine, komisarz cyrkulowy, uwiadomiony o okrucieństwach, jakich się dopuszczali rodzice nad pięcioletnim synkiem, udał się tam dla stwierdzenia faktu, i w istocie znalazł chłopczyka, ale już nieżywego, a całe ciało pokryte ranami i guzami, leżało w gnoju i robactwie.

Ojciec Desjardins nie uczynił tego z nędzy lub rozpacz, stanowisko jego pozwalało mu na wyżywienie i przyzwoite wychowanie dziecka. O ile z zeznań sąsiadów można było się dowiedzieć, rodzice nienawidzili syna, i aby nie zwracać uwagi sąsiadów, w dzień nie przesładowali dziecka, owszem, kazali mu śpiewać i być wesołym, ale gdy nikt nie patrzył, pastwili się nad nim okrutnie i głodzili. Dziecko szczęśliwe było, gdy się dorwało do resztek, które ulubiony piesek rodziców odrzucał; wtedy syn ogryzał pokrywom pozostałe kości. Rodzice spragnionemu odmaiwali kropelki wody, a gdy sąsiedzi napoili lub nakarmili nieszczęsne dziecko, bili go niemilosierdzie. Takie postępowanie nie mogło uciec bezkarnie; zaskarżono wyrodných rodziców, areztowano i, naturalnie, odpowiednio ukarano.

Również ohydny postępek zdarzył się przed kilkunastu dniami. Mularz Deblander pałał zemstą ku swojej żonie, którą posadzał o zdradę, mszcząc się więc za to, roztrzaskał główki dwóm swoim córeczkom, następnie starał się ucieczką ratować przed sprawiedliwością, ale został przyaresztowany.

I jeszcze jeden dramat miał miejsce w wiosce Beaulieu. Chłop Quévreux; powróciwszy do domu, zaczął swoim zwyczajem, pastwić się nad 14-letnim synem bijąc go zapamiętale. Starsza jego siostra stanęła w jego obronie, ale nie mogąc uwolnić od silnych rąk, które bez przerwy na niego spadały, uchwyciła kawał drąga, uderzyła ojca tak silnie, iż go zabiła na miejscu. Nasuwa się pytanie z kąd się bierze w człowieku podobne okrucieństwo, i jak złemu zaradzić?

Upały w całej Francji dochodzą do tego stopnia, że wypadki porażenia są nader częste, między niemi wiele było śmiertelnych. Pod wpływem upałów obłęd doprowadzał ludzi wielu do samobójstw, może więc i oddziałał w tym kierunku. Bądź co bądź źle się tu dzieje. A tyle przecież jest materiału, aby cywilizacja roztoczyła swe skrzydła nad wszystkimi — i rozgrzała serca dobrocią...

Temi dniami w Akademii Sztuk Pięknych, p. Blanchet czytał nadzwyczaj zajmujący referat o wykopaliskach, które zdobył w Seddrata d'Onargla, mieście założonem na początku dziesiątego wieku a zniszczonem około 1077.

Dzięki poprzednim badaniom, mógł p. Blanchet zaraz przystąpić do oceniania ważnych i dobrze zakonserwowanych pomników. Są to: meczety, dom mieszkalny, wielkich rozmiarów pałac, prawie nienaruszony, którego mury wznoszą się wyżej nad cztery metry, a część jego odgrzebana zawiera 34 pokoi.

Na podwórzu środkowe wychodzą dwa portyki i trzy sale. Mury, kolumny i gzemisy, są pokryte delikatną sztukaterią przerabianą arabskimi.

Pokoje w czterech narożnikach z niszami w kształcie muszli są podobno wspaniałe. Największa i najwięcej ozdobiona z sal, ma formę

liter T. Łóżka rzeźbione znajdują się w każdym poboczu.

Pałac Seddrata ze swemi kolumnami i półkolumnami posiada 12-metrowy mur, dokoła pięknie ozdobiony. W ogóle jestto cenny zabytek historyczny, sztuki berberyjskiej w średnich wiekach.

Pan Blanchet sądzi, że główna zaleta zasadza się na tem, iż nic z tych rzeźb nie przypomina wpływu Muzułmanów Wschodu, więcej zbliżają się one do sztuki rzymskiej w Afryce.

Za inicjatywą poetów bretońskich, pięćdziesiąta rocznica śmierci Chateaubriand'a obchodzoną była z wielką uroczystością w Saint-Malo, przy współudziale władzy, wielu członków Akademii francuskiej, licznych stowarzyszeń bretońskich i mnóstwo ludu. Pomiedzy akademikami zwracali na siebie uwagę pp.: Brunetiere i de Vogüé, otoczeni miłośnikami wiedzy bretońskiej i nader liczną rodziną Chateaubriand'a.

Autor „Pamiętników z grobu“ urodził się w Saint-Malo w r. 1768, a zwłoki jego spoczywają na małej wysepce „Grand-Bé.“ Poeta sam wybrał sobie to samotne miejsce, chciał, aby zdala od ludzi, o mogiłę jego, nad którą tylko prosty krzyż żelazny się wznosi, odbijały się echem fale Oceanu.

Do tego więc grobu zorganizowano pielgrzymkę; arcybiskup z Rennes odprawił nabożeństwo, O. Olivier miał mowę na cześć Chateaubriand'a, nad grobem przemawiał akademik M. de Vogüé, a wieczorem miał odczyt Brunetiere.

Donoszą z Hawru, iż odbyły się tam wielkie zabawy na rzecz ofiar okrętu „Bourgogne.“ Komitet, kierujący zabawami na ten cel dobroczynny, korzystając z obecności dwóch eskadr na wodach Hawru, i z manewrów, na której przegląd, zjeżdża Prezydent Rzeczypospolitej, zorganizował na rzecz rodzin pozostałych po strasznej katastrofie na okręcie Bourgogne wspaniałe manifestacje; dadzą one dochód poważny i otrzeć niewątpliwie zdolają lzy sierotom i wdowom.

O wielkim pożarze piszą na Dunkierce. Spaliła się tam rafnerya oleju. Ogień wybuchł skutkiem pęknięcia rozerwoaru. W strasznej panice, która ztąd wynikła, znaczna liczba osób została roztratowana i pokaleczona. Jeden z robotników objęty płomieniem na samym wstępie, natychmiast został zwęglonym, inni robotnicy zdolali uciec z życiem.

Objęcie posiadłości terytoryum, ustąpionego Francji przez rząd chiński, nie przyjdzie do skutku, o ile się zdaje, bez walki. Niebieszcz mieszkancy z okolicy Kouang-Tcheou-Ouan, okazują wrogie usposobienie względem marynarzy francuzkich zostających pod dowództwem admirała de la Bédolière. Ten domaga się posilków i otworzenia kredytu na nowe fortyfikacje.

K. G.

BEZKRÓLEWIE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

w 2-eh częściach

przez

Maryę Łopuszańska.

(Dokończenie).

W czas jakiś po owych zdarzeniach, pewnego rana do dworu bobrowickiego przybył jakiś człowiek, powiadając, że się chce widzieć z „panem porucznikiem.“ Gdy go pan Jan ujrzał, zawołał uradowany:

— Michał! Jakże to mię odszukałeś?

— Od ludzi się dowiedziałem, że pan porucznik powrócił z Rusi, więc myślę sobie: trzeba pójść, odwiedzić...

— Dobrze, żeś sobie o mnie przypomniał, mój chłopcze, ja także wspominałem nieraz o tobie. Ale gdzieś bywałeś od czasu, jak się rozstaliśmy z sobą?

— Ano, wróciłem do Radoszyc, do starego ojca. Mamy tam, chwalić Pana Boga, domek na przedmieściu i ogród i spory kawał pola, tylko nam bez baby w chacie było nijako. Ojciec mi powiada: „Ot, ożeniłbyś się synku.“ Mnie nie trza było tego dwa razy powtarzać, bom już sobie dawno upatrzył dziewczynę... Pan porucznik może sobie przypomina ową pannę respektową pani kasztelanowej, kiedyśmy jechali razem z pod Rawy. Jeszcze wtedy w drodze wpadła mi ona w oko, więcem się pokłonił o nią pani kasztelanowej, a choć to dziewczyna ze szlacheckiego rodu, przecie nie wzdragała się iść za mną, lyczka miejskiego; alem jej to obiecał, że jak Bóg pomoże, a będzie wojna z Turkiem, to się będę tak bił srodze, że może i szlachectwo mi dadzą, — albo to mało takich? czym ja to gorszy od innych?

— Z całego serca życzę ci w tem powodzenia, — odrzekł pan Jan z uśmiechem. — No, a jakże ci się powodzi w domu?

— Dobrze, panie poruczniku, — niema to jak żona! Teraz w niej jednej mam i wachmistrza i porucznika i oboźnego. A pracowita — jak pszczoła, wszystko w domu teraz inaczej, odkiedy ona jest. Ale dzięki Bogu, że znów widzę pana porucznika i to w dobrym zdrowiu, bo słyszałem, że was te psie syny, Tatarzy, omal życia nie pozbawili. Żal mi teraz, że tam nie był z wami — możeby był i poszedł, ale jak mi żona zaczęła gadać, że się już bez tego rozwiódł w obozach, tak zostałem, lecz rzekłem jej, że jak będzie wojna z Turkiem, to mi i na łańcuchu nie utrzyma.

— Oho, to cię widzę na dobre osiedlała, — rzekł pan Jan.

— Cóż robić, panie poruczniku, — rzekł Michał, przymrużając jedno oko, z miną filuterną. — Niewiadomo co kogo ma spotkać...

A po chwili dodał:

— Mówili mi ludzie na wsi, że ta śliczna panienka, co wtedy z panią kasztelanową jechała, jest waszą narzeczoną. Już że ładna panna, to ładna, ale niema jak wasza siostra, panie poruczniku...

— Czy tak? Więc pójdz-że do niej, rada cię ujrzy, — rzekł pan Jan i powiódł go do Magdzi, która poznała go natychmiast i przyjęła bardzo mile.

Nazajutrz Michał Zawala, żegnając się ze swym dawnym panem, rzekł mu z uśmiechem, w którym wyrażała się zarazem i szczerą życzliwość i filuterya:

— Życzę szczęścia panu porucznikowi, ale myślę, że wam także niełatwo będzie teraz z domu wyruszyć...

— Bądź spokojny, nie zbabieję, choć się ożenię, — odrzekł pan Jan. — A ty tam nie zapominaj o mnie.

— Jaby też miał was zapomnieć! Ot, właśnie chciałem prosić, że gdy będziecie ruszać kiedy na jaką potrzebę z nieprzyjacielem, byście i o mnie pamiętali, bobym chciał zawsze z wami razem...

— Chciałbyś już prędzej to szlachectwo zdobyć? Dobrze, jak tylko będzie potrzeba, to ci dam znać do Radoszyc.

— Dziękuję, panu porucznikowi. Ostańcie z Bogiem.

Z zaślubinami młodej pary wstrzymywano się aż do przybycia pana Ignacego, który wciąż zostawał przy boku wielkiego hetmana, zajętego przygotowaniami wojennymi i nie mógł się oddalić w tak niespokojnych czasach, kiedy co chwila wypadało jechać z listami do różnych panów koronnych.

Król powrócił wreszcie z Rewla; do Stambułu wysłano Jana Zamojskiego, krewniaka hetmana, na miejsce zmarłego Uchańskiego, a tymczasem zwołano sejm, który uchwalił nadzwyczajne podatki na wojnę, oraz pospolite rusze-

nie. Hetman życie swe i mienie całe ofiarował na usługi kraju; właśnie w tym czasie stracił żonę i zupełnie się tylko oddał sprawom publicznym, by zagłuszyć boleść. Ponieważ Turcy ukończyli w tym czasie szczęśliwie wojnę z Persją, więc mogli wszystkie swoje siły obrócić na Rzeczpospolitą i wojna znowu groziła, jak gradowa chmura.

Hetman zdołał wreszcie przekonać stany, iż niebezpieczeństwo naprawdę zagraża, zaczęto się zbroić na gwałt, i, rzecz niezwykła, w dość krótkim czasie stanęły pod bronią liczne hufce husaryi, lekkiej jazdy i piechoty, które pociągnęły ku granicy, by Turków powstrzymać od przeprawy przez Dunaj, dokąd całe wojsko nie wyruszy w pole.

Zamojski tymczasem w Konstantynopolu różnemi środkami starał się skłonić sułtana do zawarcia pokoju i osiągnął to za wstawieniem się posła dworu angielskiego. Sułtan usunął nieprzyjawnego Polakom wezyra Sinana-paszę, który do wojny poduszczał i zgodził się na zawarcie układów pokojowych.

Znów więc zapanowała cisza w kraju, przynajmniej od strony nieprzyjaciół zewnętrznych, bo wewnątrz arcybiskup Karnkowski i Górka poczęli znów wicherzyć przeciwko hetmanowi, oskarżając go, że zmyślił tylko niebezpieczeństwo w postaci wojny tureckiej, byle sobie więcej wagi dodać, a podatki na jakieś prywatne cele obrócić.

Właśnie pan Ignacy, przybywszy wiosną do Bobrowie, przyniósł wieści o tych smutnych niesnaskach pomiędzy najwyższymi dygnitarzami w kraju. Chorąży mocno się tem zmartwił, choć zarówno ucieszył się, że pokój szczęśliwie zawarty został. Gdyby nie owa chmura na publicznym widnokręgu, stary szlachcic byłby się czuł teraz zupełnie szczęśliwym, mając przy sobie wszystkie swoje dzieci i pana Andrzeja, którego jak syna umiował. Wszyscy też zauważyli, że dla pana Jana okazywał się teraz łaskawszym i czulszym, niż dla własnego syna, jakby mu tem chciał wynagrodzić długie odłączenie od rodziny. Pan Ignacy jednak wcale nie był o to zazdrosnym, tylko swoim zwyczajem, po przybyciu, nie mógł się powstrzymać od jakiegoś figla. Magdzia mu zaraz opowiedziała, jak rzeczy stały, więc cichutko wszedł do sali, gdzie się znajdowali Ewa i brat, którzy wcale jeszcze nie wiedzieli o jego przyjeździe, a tak byli zajęci sobą, że wcale nie spostrzegli jego wejścia. Podszedł na palcach i stanawszy im za plecami, z uroczystą powagą wyciągnął nad nimi ręce i rzekł poważnym głosem:

— Moje dzieci, niech błogosławieństwo Abrahama i Jakóba spocznie na głowach waszych!

Magdzia, śmiejąc się, pogroziła mu palcem, Ewa była nieco zmieszana, a pan Jan rzekł, ściskając go serdecznie:

— Toś ty zawsze ten sam, trzpiocie!

— Albo nie wiesz o tem, że na świecie tylko jedne trzpioty się nie zmieniają, — odrzekł pan Ignacy. A spojrzawszy na Ewę, zawołał, niby cofając się z podziwu:

— Ho, ho, co ja widzę? Toć to istna róża, albo zorza poranna.

— Słuchaj, — dodał, zwracając się do brata, — czyś ty jeszcze nie oślepl, patrząc codziennie na te śliczności?

— Nie wiedziałam, że braciszek umie sypać tak dwornymi i gładkimi słówkami, — rzekła Ewa, rumieniąc się i spuszczać oczy. — Widać, że na dworze hetmańskim są panny, które to lubią...

— Jak mi Bóg miły, ani jednej niema, coby dorównała siostrzyczce! — zawołał pan Ignacy, uderzając się w piersi. — Zresztą nie wesoło tam teraz, bo po śmierci nieboszczki hetmanowej, wciąż trwa żałoba i niema żadnych fet, ani zabaw... Ale wiesz ty, z kim ja się niedawno widziałem? — zwrócił się do pana Jana; — oto z przyjacielem moim Jacentym Pobogiem; ten mi opowiadał, jak się wielce odznaczyłeś w obronie zamku Baworowskiego, że aż sama pani Włodkowska wspominała o tobie hetmanowi, który zapewne o tem nie zapomni.

— Jeślim czynił więcej trochę od innych, to

wierz mi, że nie dla promocji, ani dla pochwały niczych, — odrzekł pan Jan, — bo i tak czuję, jak mało jeszcze zrobiłem. Myślałem, że teraz będę miał więcej sposobności ku temu, ale słyszę, że pokój z Turcją już zawarty...

— Nie żałuj tego, — ozwał się poważny głos chorążego; — jeszcze, jak Bóg da, będziesz miał dość pola do okazania swej gotowości służenia krajowi. Raczej podziękować należy Bogu, że jeszcze raz oddalił od granic owego srogięgo nieprzyjaciela...

— Nie żałuję tego bynajmniej, miły stryju, — rzekł pan Jan, spojrzawszy na Ewę, po której licu znać było także, jak się cieszy z zawarciem pokoju.

— A siostrzyczka to pewnie temu najwięcej rada, — ozwał się pan Ignacy, który to zauważył.

— Zgadłeś, braciszku, — odparła cicho i szybko. W tej chwili zbliżył się do niej pan Jan i oboje odeszli na stronę, coś szepcząc z sobą, radzi, że im już nikt nie przeszkadza.

Niebawem w małym kościółku Bobrowickim odbył się ślub młodej pary. Kasztelanowa umyślnie przybyła z Krakowa na tę uroczystość, a prócz niej mnóstwo gości, których chorąży zaprosił, chcąc uświetnić tem powrót na łono rodziny przybranego syna. Dwór w Bobrowicach przepełniony był ruchem i gwarem weselnym. Wszyscy zaproszeni podziwiali tę piękną parę, jaśniejącą od szczęścia i jakby stworzoną dla siebie.

Kiedy Magdzia, z panią Katarzyną, ustroiwszy siostrę do ślubu, przywiodły ją do pustej jeszcze komnaty, przylegającej do sali, Ewa, zostawszy sama z Magdzą, rzuciła się na szyję ze łzami i zawołała gorąco:

— Magdziu moja najmilsza, tobie to winnam całe moje szczęście, tyś to sprawiła wszystko! Niech ci Bóg tysiąc razy to wynagrodzi, niech śle same tylko jasne chwile w życiu za to szczęście, które dałaś sierocie. Nigdy, nigdy nie zapomnę tego, com ci winna, moja najdroższa, ukochana siostrzyczko!

Drżała cała ze wzruszenia, mówiąc to, i długo, długo tuliły się w objęciach.

Nie spostrzegły wcale, że w komnacie znajduje się niemy świadek, a był to pan Jan, który wszedł był tu na chwilę przed ich nadejściem i słyszał wszystko.

On także wspominał, co zawdzięczał siostrze, i podszedł do niej, by jej złożyć dzięki, ale nie pochwycił jej, jak Ewa w objęcia, tylko pochyliwszy przed nią głowę nisko, wziął jej rękę i złożył na niej długi pocałunek. Magdzia w jego oczach przybrała w tej chwili jakąś dostojność, której nawet Ewa jeszcze nie posiadała. A kiedy, drżąc także od wzruszenia, z mężką, wpół ukrytą łzą w oku wyrzekł do niej:

— Magdziu moja dobra, ukochana, dzięki ci za wszystko, czem dla mnie byłaś, — widać było, że cała jego dusza wylała się w tych słowach.

Twarz Magdzi promieniała radością; tklivem wejrzeniem, w którym prawie coś macierzyńskiego zdawało się przebijać, objęła stojącą przed nią urodziwą parę i uściskawszy ich, wyrzekła z powagą i rzewnością w głosie:

— Niech was Bóg błogosławi.

Niedługo potem i Magdzia poszła z domu ojcowskiego. Cała wieś, z sołtysem na czele, zgromadziła się w kościółku, zaproszona na ślub i wesele swej panienki, — i nagle, gdy zagrano „Veni Creator“, w kościele powstało szlochanie ogólne; na myśl bowiem, że już się rozstają z dziewczęciem, które wzrosło na ich oczach, nie mogli leż powstrzymać. Żegnali też ją u wrót wioski, żegnali na granicy pól chlebem i solą i życzeniem pocziwem, błogosławiąc na drogę do nowego życia.

Pan Andrzej choć osiadł na własnym zagonie, nie usuwał się od spraw publicznych, lecz zawsze wolał trzymać się w cieniu, służąc gdzie mógł dobrą radą i przestrogą i wkrótce zdobył sobie wielki mir u braci szlachty, która ceniła jego prawość niezłomną i często obierała go sobie za rzecznika i sędziego w swoich sporach i zatargach, Jan i Magdzia cieszyli się w całej okolicy ogólnem uznaniem i miłością.

Pan Jan, wedle danego słowa, nie szczędził nigdy ani trudów, ani krwi swojej w każdej publicznej potrzebie, za co też został nagrodzony godnościami, na które zapracował swoim męstwem i poświęceniem. Choraży, który wciąż przebywał to u jednych, to u drugich swoich dzieci, doczekał jeszcze tego, że go widział idącego coraz wyżej w zasługach i w znaczeniu i wciąż przytem pracującego gorliwie pro publico bono, — zarówno tam, gdzie potrzeba było ramienia, jak też tam, gdzie sprawa wymagała głowy i serca pełnego zapału i dobrych chęci. Stary szlachcic, patrząc z pociechą na to wszystko, umarł w wieku dość późnym, lecz Bóg był na niego tyle łaskaw, że nie dał mu dożyć klęsk i nieszczęść, które miały nadciągnąć później, zapowiadając się przedtem jeszcze niezgodą i rozprzeżeniem ogólnem.

K O N I E C.

WIADOMOŚCI

Z HYGIENY I MEDYCyny POPULARNEJ.

O zapobieganiu nerwowości

podług

D-ra Dornblütha.

Niesłuszną jest rzeczą, gdy się stępuje nerwowość nazwą „modnej choroby“ lub „choroby wieku“ i udziela się rady nerwowym, aby się hamowali i pokonywali siłą woli swą chorobę. Istnieją zapewne wypadki łżejsze, gdzie chory może się przestać skarżyć na swoją chorobę i pomimo dolegliwości, oddawać się swym codziennym zatrudnieniom, dopóki nie nastąpi polepszenie; nie trzeba jednak sądzić, że to ostatnie jest następstwem wysiłku woli. Lekarz przynajmniej widzi więcej wypadków, w których dzięki sile woli, choroba długo była powstrzymywana, aż do chwili, gdy całkiem chorego zmogła, tak że trzeba było wiele wysiłków dla usunięcia jej. Nerwowość zasadza się na chorobliwej niezdolności układu nerwowego odnowienia zużytych przez pracę fizyczną i umysłową swych pierwiastków w czasie wystarczającym dla zdrowych, a więc zupełnie niepostrzeżenie. Jasną jest rzeczą, że układ nerwowy odzyskać może tę zdolność nie dzięki sile woli, lecz przez zmniejszenie wymagań i powiększenie zapasu sił. Otoczenie jednak chorego nerwowego jest zadowolonym, gdy nie mówi on już o swych dolegliwościach, uważa go już za uleczonę, gdy nie trakuje spokoju swych blizkich. Nazwę „modna choroba“ opiera się na twierdzeniu, że dawniej nie było tylu ludzi nerwowych i szuka się przyczyn w szczególnych stosunkach społecznych czasów obecnych, w nieustannej bez wytechnienia pogoni już to za zarobkiem, już to za wirem uciech i użycia. Dziwną jest jednak rzeczą, że wielu z tych, co najgłębiej są pogrążeni w toni tych dążeń, nie są nerwowymi, a znajdujemy nerwowców w ciszy wioskowej, gdzie nie dosięga prawie żaden odgłos tego burzliwego życia. Najważniejszą przyczyną powstawania nerwowości jest wrodzona albo nabyta w dzieciństwie mniejsza odporność układu nerwowego. Naturalnie, że dotknięci nią tem więcej w życiu bywają obarczeni, im więcej muszą oni pracować, im więcej doznają wzruszeń.

Na szczęście, uwaga baczna, jaką zwrócono w ostatnich dziesiątkach lat na nerwowość wykazała nam, że nawet wrodzony brak odporności nerwów wyrównany być może i jednocześnie nauczaliśmy się, jak należy zwalczać zaćzki nerwowości w dzieciństwie i młodości. Niestety, wielu z rodziców i wychowawców nie zwraca uwagi na początkowe oznaki nerwowa-

ści; drwią sobie z niebezpieczeństwa wtedy, kiedy ono jeszcze zażegnanem być może. Jak często słyszymy: dzieci nie powinny być nerwowe i widzimy, że im rodzice są bardziej sami nerwowi, tem ostrzej i gwałtowniej występują przeciwko mniemanej niesforności dzieci. Kto jest uważnym i umie obserwować, zauważy już dosyć wcześnie ślady chorobliwego usposobienia i wcześnie pomyśli o zaradzeniu złemu.

Nerwowe dzieci w pierwszym roku życia są zwykle wátłe, krzyczą dużo bez szczególniejszego powodu, drżą przy każdym niezwykłym dla nich wrażeniu i łatwo nawet mdleją. W obec objawów ich podniecenia, starsi zwykle podrzucają je na rękach, albo bujają w wózku, który teraz po największej części zastępuje kołyskę; jeżeli sobie wyobrażymy, jakiego doświadczałby uczucia dorosły chory nerwowo, gdyby w ten sposób zwalczano jego rozdrażnienie, łatwo sobie wyobrazić można, jak korzystnem jest takie postępowanie dla dziecka, chociaż często rzeczywiscie ucisza się ono z nadmiaru męczarni. Inne dzieci znów tem odradzają swoją nerwowość, że zrywają się we śnie, niespokojne mają sny, inne znów bledną lub rumienia się byle czego. Do takich chorobliwych objawów należy również obawa niewinnych zupełnie stworzeń, ruchliwych zabawek, jak np. bąka, albo też burzy. Inne znów objawy pojawiają się u dzieci w wieku szkolnym.

Podczas, kiedy wiele dzieci, pomimo wzruszeń, nieodłącznych od pierwszych tygodni pobytu w szkole, nie przestaje być rześkimi i wesołymi, inne znów bez widocznej choroby są blade i zmęczone; skarżą się na ból głowy, są przygnębione i osowiałe, nie mają wcale apetytu, szczególnież przed pójściem do szkoły nie jeść nie chcą, a jeżeli się je wówczas do jedzenia zmusi, to nieraz nawet dostają wymiotów; wieczorem nie chcą iść spać, bo boją się pozostać same w sypialnym pokoju. Zwykle uważamy je wtedy za anemiczne; często są niemi w rzeczywistości, ale częściej jeszcze widzimy, że w kilka dni po rozpoczęciu wakacyj są znowu rześkie i wesołe, podczas kiedy czas tak krótki nie wystarczyłby do uleczenia rzeczywistej niedokrewności. Inne nerwowe dzieci bywają jeszcze bardziej podniecone — nieraz chodzą nawet we śnie po nocach, są lunatykami, co jest dowodem niespokojnego i zbyt lekkiego snu. Inne znowu uderzają nas nadmiernie pobudzoną wyobraźnią, podziwiamy łatwość, z jaką wcielają się w odgrywane w zabawach role. Ta mania naśladowcza tak silnie rozwinięta w nerwowe chore dzieci, jest również powodem t. zw. nerwowych szkolnych epidemij, które corocznie tu i owdzie obserwujemy, na których jednak najczęściej nie od razu się poznajemy i nietrafnie je leczymy. Jeżeli np. nerwowe dziecko dostanie ataku epileptycznego, i wiele z tego powodu narobimy hałasu, z wielkimi awanturami odwieziemy je ze szkoły do domu i t. p., wtedy w najwyższym stopniu podbudzamy tem nerwy innych dzieci, tem więcej naturalnie, jeżeli jeszcze inne zachowują i jeżeli w domu i w szkole o niczem innem mówić się nie będzie. Doświadczenie uczy, że takie nerwowe epidemie prędko ustają, jeżeli dziecko przy pierwszych oznakach choroby odeszłemu do domu, mówiąc mu: możesz odpocząć przez parę dni; jak ci będzie lepiej, to wrócisz do szkoły.

Cóż więc czynić należy, ażeby nie dopuścić nerwowości u dzieci naszych? Nie wiemy przecież, czy dziecko nasze ma do tego usposobienie. Zupełnie też tego wiedzieć nie potrafimy, gdyż powinniśmy tak wychowywać wszystkie bez wyjątku dzieci, aby im w zdrowiu nerwy utrzymać.

Przedewszystkiem należy zostawiać w spokoju małe dzieci. Nie należy ich trząść i podrzucać i przerażać gwałtownymi wybuchami radości. Najlepszym tego dowodem, że małe dzieci zwykle wolą mężczyzn od kobiet; pochodzi to ztąd, że mężczyźni zwykle pozostawiają dzieci w spokoju, podczas kiedy panie mają zwyczaj obsypywać je całusami. Bardzo jest także rzeczą ważną, żeby dzieci nie ubierać zbyt ciepło,

żeby temperatura pokoju nie przenosiła 15 stopni Réamura i woda na kąpiel żeby nie była nigdy cieplejszą nad 26 stopni R. Byłoby również nierozsądnem, gdybyśmy w chłodniejszej wodzie dzieci kąpali, jak to się obecnie często zdarzyć może u zwolenników metody Kneipa. Przesada w tym kierunku zarówno źle wpływa na nerwy dziecinne. Dalej powinniśmy dzieci rozumnie odżywiać, żeby siły ich odpowiadały wymaganiom ich fizycznego i umysłowego rozwoju. Powinniśmy troszczyć się o to, aby mogły się dostatecznie wysypiać w spokojnym, dobrze przewietrzonym pokoju. Przed rozpoczęciem nauki szkolnej, kiedy dziecko już uczy się i pracuje umysłowo i fizycznie, bardzo jest korzystnem, aby w dzień godzinę leżało; należałoby tego przestrzegać i w czasie nauki szkolnej szczególnież w lecie, kiedy lekcye wcześniej się zaczynają, dziecko zaś z powodu miłego chłodu wieczornego nie radeby wcześniej iść spać. Trzeba się troszczyć, jeżeli to możliwe, aby odrabiała swoje zadania w spokoju, nie tam np. gdzie się inne dzieci bawią, gdzie szyje się na maszynie, albo też dużo osób przechodzi.

Wielkiej jest wagi, aby rekreacye nie były wypełnione męczącymi lub też podniecającymi zabawami, albo przedwcześnie rozpoczętymi lekcjami muzyki, lub też jak u dziewcząt bywa, różnemi zbyt kownymi robótkami. Ważnem jest dla prawidłowego odżywiania, aby jedzenie spożywane było o jednej ściśle oznaczonej godzinie w niezbyt długich odstępach, najmniej pięć razy na dzień i zwyczaj ten powinien utrzymywać się w czasie szkolnym. U dzieci starszych nie przedstawia to już trudności, ale w pierwszych latach uczęszczania do szkoły dzieci nie jedzą najczęściej drugiego śniadania w czasie pauzy, gdyż mają między sobą dużo do mówienia, albo też przygotowują jeszcze coś na przyszłą godzinę. Byłoby zatem pożądanem, aby nauczyciele klas niższych zwracali na to uwagę, żeby dzieci w czasie pauzy zjadły koniecznie przyniesione przez siebie zapasy. Bardzo jest nagannem, jeżeli nauczyciele nie kończą punktualnie lekcyj i tem samym skracają uczniom pauzę, albo też jeżeli uczniom w czasie przerwy między lekcjami niewolno jest poruszać się i biegać swobodnie, lub bawić się. Jeżeli dorośli po jednogodzinnej pracy umysłowej nieprzepar-te uczuwają pragnienie ulżenia sobie chociażby przejściem się po pokoju, to trzeba chyba dozwolić na wytechnienie łatwiej jeszcze od nas wyczerpującym się dzieciom. Samo przez się rozumie, że baczna należy zwracać uwagę, aby pokój szkolny przewietrzony był przed każdą lekcją, aby umiarkowane w nim panowało ciepło, bo każde wykroczenie przeciwko tym prawidłom higieny źle wpływa na zdrowie, a nawet na zdolności dzieci. Często przeciwstawiamy wymaganiom higieny argument, że dawniej nie zachowywano jej przepisów, a jednakże dzieci i młodzież dobrze się mieli. Pomnąwszy okoliczność, że jest zupełnie nierozsądnem odrzucać pożyteczną nowość, dla tego, że jej dawniej nie znano, możemy jeszcze przeciwstawić podobnym zarzutom, że cały świat dziś się skarży na wzmagającą się nerwowość, na szalony pośpiech z jakim żyjemy, na dążność zagłuszania wewnętrznej niepokoju środkami podniecającymi, jak morfina; czyż więc nie dosyć mamy powodów ochraniać przynajmniej młodzież naszą od wszystkiego tego, co ją do tak rozpaczliwego stanu doprowadziłyby mogło.

Wszystkim jest wiadomo, że od dwóch dziesiątków lat kwestya przeciążenia nauką dzieci szkolnych wiele sprawia hałasu. Dowodzenie jednego z niemieckich psychiatrów, jakoby przeciążenie w szkole sprowadzało w młodości zupełne umysłowe wyczerpanie, a nawet choroby umysłowe zostały uznane jako zupełnie bezpodstawne. Podobnie ciężkie chorobowe objawy wtedy tylko występują, jeżeli dziecko ma już skłonność dziedziczną do choroby umysłowej, wówczas występuje ona w wieku młodzieńczym więcej z zewnętrznych, niż wewnętrznych przyczyn. Winnem tu jest także nadużywanie spirytualij przez młodzież szkolną — stało się już ono

niejednokrotnie przyczyną występującego w niej rozstroju umysłowego *).

Jednak chociaż niebezpieczeństwo przeciążenia nie jest tak groźne, jak to twierdzi wielu, to jednakże trudno zaprzeczyć, że dzieci w czasie nauki szkolnej stają się nerwowe, chociaż przedtem nie zdradzały zupełnie chorobliwego usposobienia. Wiele do tego przyczyniają się nieraz stosunki w domu, ale szkoła, jako wyżej stojąca pod względem uzdolnienia pedagogicznego, powinna i dla domu być nauczającym przykładem i nie lekceważyć sobie nawet drobniaków. Bardzo tu drażliwą kwestją jest za ostre częstokroć obchodzenie się z mniej uzdolnionymi uczniami. Dzieci przecież nie winne temu, że je rodzice umieścili w szkole, której wymaganiom nie są one w stanie zadosyćuczynić. Jednak bywają często karane za niewystarczające uzdolnienie i dotkliwie nadwreżają w ten sposób swój system nerwowy. Pragnąłbym, aby każdy z pedagogów zwiedził zakład dla dzieci upośledzonych umysłowo, a wtedy dopiero poznałby dostatecznie, że im mniejsze są zdolności ucznia, tem większą powinna być cierpliwość i łagodność nauczyciela. Wprawdzie przepełnienie, istniejące w dzisiejszych klasach, niemożliwym czyni dla nauczyciela dokładne poznanie indywidualności ucznia.

Abysmy po szczęśliwie przebytych latach szkolnych ustrzedz się mogli od nerwowości, należy przede wszystkim żyć w możliwym spokoju i równowadze. Rozpoczynając zajęcia nasze o wczesnej i zawsze tejże samej godzinie, możemy pracować spokojnie, bez wyczerpującego pośpiechu, z przerwami przeznaczonemi na odpoczynek. I w rozrywkach naszych i ćwiczeniach fizycznych powinniśmy wszelkiego unikać nadmiaru. Chociaż spacerować, jazda na rowerze, wiosłowanie, są rzeczą bardzo zdrową, to nadmierne ich użycie może być nader dla zdrowia zgubne. Właśnie ludzie nerwowi często nadużywają ruchu, bo przykry nastrój ich wyczerpanego organizmu usposabia do chorobliwego podniecenia. Często znów w przekonaniu, że w ten sposób zażegnają swoje dolegliwości, nerwowo chorzy uważają jako przeciwdziałanie umysłowej pracy, jaka ich poprzednio wyczerpała—fizyczne następnie przepracowanie. Jeżeli sobie uprzytomnimy, że wszelka działalność tak fizyczna jak umysłowa z jednego pochodzi źródła, że system nerwowy pracuje przy obu, chociaż w odmienny sposób, zrozumiemy łatwo, że nadmiar wysiłku fizycznego jest także szkodliwy dla chorych nerwowych. Ćwiczenia fizyczne są tu o tyle tylko pożądane, że odwołują od pracy umysłowej i wywołują szybszą przemianę materii, nb. jeżeli po nich zupełnie odpocząć możemy.

Przedewszystkiem, jak u dorosłych, tak u dzieci zwracać należy uwagę na regularne i posilne odżywianie. Herbatę i kawę pić można w umiarkowanej ilości; podniecające ich własności dobrane wpływają na nerwy, a tylko nadmierne ich użycie jest tu szkodliwym. W wysokim natomiast stopniu zgubnymi są dla nerwowych wszelkie napoje spirytualne. Jest to ciężkim wykroczeniem zalecać anemicznym porter i inne mocne piwa dla wzmocnienia ich jakoby, dla pobudzenia ich apetytu i jakoby środkiem nasennym. Przemijające pobudzenie, jakie spirytus sprowadza, chwilowo przynosi ulgę choremu, ale

przeszkadza temu, co mu jest najpotrzebniejsze, t. j. rzeczywistemu uzdrowieniu jego nerwów przez najodpowiedniejsze hygieniczne zachowanie. Alkohol jest szczególnie też szkodliwy dla młodzieży, która go w najmniejszych nawet ilościach używać nie powinna, ażeby groźny nieprzyjaciel pod maską bezbronnego i dobrotliwego przyjaciela nie mógł się wcisnąć żadną furtką. Prawdziwie zbawiennym jest natomiast przebywanie wśród przyrody, zupełny wypoczynek, życie towarzyskie bez zbytniego jednak utrudzenia i podniecenia, rozsądnie wyzyskane wakacje, szczęśliwe pożycie rodzinne, niezbyt poważna i skomplikowana muzyka, podczas kiedy niezmiernie drażniące utwory sztuki nowoczesnej, choć wiele przedstawiają rozkoszy dla znawcy, wiele jednak zużywają siły nerwowej. Wprost niebezpiecznymi są zbyt męczące rozrywki, zalecane chorym jakoby w celu odwrócenia ich myśli od choroby. Dla tego też podróże stosować należy u chorych nerwowych tylko z wielką ostrożnością.

Jeżeli pomimo środków zapobiegawczych nerwowość się jednak rozwinie, objawiając się w początkach już to drażliwością, przykrym niepokojem, lub też niezdolnością i niechęcią do umysłowej i fizycznej pracy, albo też gdzie się nerwowe usposobienie zdradza skłonnością do bólu głowy, migreny, chorobliwego rozdrażnienia, do nerwowego bicia serca, przy upartej niedokrewności w latach rozwoju u dziewcząt, co często jest wstępem do upartej neurastenii, tam nie należy tracić czasu na leczenie się jakiemiś babskimi środkami, tylko trzeba w porozumieniu z lekarzem postanowić sobie poważną kurację i przeprowadzić ją sumiennie. Trudno opisać, wiele oszczędzilibyśmy niedoli i rozlicznych cierpień jednostkom, wiele prawdziwego nieśczęścia całym rodzinom, gdybyśmy więcej byli przewidujący w tym względzie. Z nic nieznających napozór początków rozwijają się zaburzenia nerwowe, unieszczęśliwiające przez całe życie dotkniętą nimi osobę. Określenie, że ktoś jest „trochę nerwowy“, nieraz zapowiadać może perspektywę długiego cierpienia i niezdolność do wszelkiej działalności zwichniętego życia. Szczególniejszą troskliwością powinniśmy tu otaczać dziewczęta, bo w życiu późniejszym czy to jako żony, czy też jako istoty samodzielnie zdobywające byt po świecie, odczuwają one daleko dotkliwiej aniżeli mężczyźni wszelkie wykroczenia przeciwko zdrowiu, jakich dopuściliśmy się w ich dzieciństwie. Dla tego też pożądanem byłoby pozostawić każdemu dziewczęciu po ukończonej nauce rok odpoczynku, który wyłącznie tylko należy poświęcić zdrowiu. Dla nerwowych albo też skłonnych do nerwowości dziewcząt, wysoce zbawiennym jest dłuższy pobyt nad morzem.

II. Szkicu na udekorowanie wypukłorzeźbami 3-ch okien 1-go piętra, każdego oddzielnie.

III. Szkiców dwóch grup, które mają być umieszczone przy wejściu do gmachu.

Warunki konkursu następujące:

1) w konkursach na wypukłorzeźby mogą przyjąć udział wszyscy artyści, pochodzenia polskiego rzeźbiarze i malarze, w konkursie zaś na wykonanie grup tylko rzeźbiarze;

2) temat kompozycji, pozostawia się uznaniu konkurujących;

3) szkice mają być wykonane w modelach gipsowych, a co do wypukłorzeźb to i w rysunkach cieniowanych;

4) szkice mają być wykonane podług skali następującej:

a) wypukłorzeźby do tympanonu nie mniej jak 0,1 wielkości naturalnej w trójkącie o podstawie wynoszącej 13,7 metrów, a wysokości 2,3 metry.

b) wypukłorzeźb nad oknami nie mniej jak 0,1 wielkości naturalnej, wynoszącej w podstawie szerokość okna 3 metr. i wysokości 4,3 metr.

c) grup—nie mniej $\frac{1}{3}$ wielkości naturalnej, wynoszącej w podstawie 1,75 met. szerokości i 3 do $3\frac{1}{2}$ met. wysokości.

Grupy mają stać na piedestałach wysokości 2,5 met. i szerokości 1,5 m., przytykających do cokołu gmachu.

5) Za prace uznane za najlepsze wyznaczają się nagrody: 1) za szkice wypukłorzeźb do tympanonu rub. 300; za szkice wypukłorzeźb pod okna rub. 100 i za szkice dwóch grup rub. 300. Przytem chociaż obie grupy mają stanowić jedną całość, wszelako Komitet pozostawia sobie prawo wybrania oddzielnie jednej grupy za nagrodą rub. 150.

6) Jury konkursowe stanowić będzie Komitet Towarzystwa z możliwością zaproszenia artystów;

7) nagrodzony projekt przechodzi na własność Towarzystwa. Komitet pozostawia sobie prawo powierzenia wykonania rzeźb i ornamentacji niekoniecznie autorom projektów nagrodzonych;

8) termin nadesłania prac konkursowych pod adresem Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych wyznacza się do dnia 20-go Października n. st. 1898 r., do g. 12 w południe, prace nadesłane po oznaczonym terminie do konkursu dopuszczone nie będą.

9) Sąd konkursowy odbędzie się w dniu 4-ym Listopada n. st. 1898 r.

10) Nadesłane prace winny być opatrzone odpowiednim godłem. Imię, nazwisko i adres artysty winny być nadesłane w zapieczętowanej kopercie, opatrzonej godłem, zamieszczonem na projekcie.

Blizsze objaśnienia jakoteż odbitki elewacji projektu gmachu i rysunki form architektonicznych otrzymane być mogą w Kancelaryi Towarzystwa.

OGŁOSZENIE.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, celem przygotowania rzeźb i ornamentacji, potrzebnych do budowy gmachu Towarzystwa postanowił, w miejsce dorocznego konkursu wyznaczyć i niniejszem ogłasza, trzy konkursy następujące:

I. Szkicu wypukłorzeźby, która ma być umieszczona w tympanonie gmachu.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 15 i 16 powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

*) Autor mówi tu o nadużyciu piwa przez młodzież niemiecką—u nas na szczęście nie ma tego zwyczaju; w każdym jednak razie użycie alkoholu w wieku młodzieńczym, chociażby nawet w małych ilościach, niekorzystnie oddziałuje na zdrowie.

Treść: Pogawędka, przez ??—Odpowiedź, przez Zygmunta R.—Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg).—Nowiny paryżkie, przez K. G.—Bezkrólewie, powieść historyczna w 2 częściach, przez Maryę Łopuszańską (dokończenie).—O zapobieganiu nerwowości, podług D-ra Dornblütha.—Ogłoszenie.

Dodatek obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy“, arkusz 15 i 16. Przekład Z. S. — Przegląd mód. 31 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.